ORLI LOT

MIESIĘCZNIK
ORGAN KÓŁ KRAJOZNAWCZYCH
MŁODZIEŻY
Cena 30 zł Cena 30 zł
Rok XXI Maj — Czerwiec 1947 Nr 5—6



PUCHEROKI Fot. R. REINFUSS

JÓZEF STAŚKO

Zwiedzajmy Polskie Wybrzeże.

Poza górami, terenem najbardziej nadającym się do wędrówek, jest Wybrzeże. Morze ma całkowicie inny urok niż góry. Kto w górach czuje się źle i nie może urządzać forsownych wycieczek po szczytach, albo nie jest w stanie tam przebywać ze względu na serce lub nerwy, ten z pewnością będzie się czuł doskonale nad morzem

Zaleca się nie tylko zwiedzanie poszczególnych miejscowości, czy ich okolic, ale nawet piesze, dalsze wędrówki wzdłuż Wybrzeża. Jednych krajoznawców zainteresuje rybołóstwo morskie, innych typy budownictwa, czy sama ludność. Jedni będą zwiedzali zabytki historyczne i sztuki, inni zajmą się zabytkami przyrody. Każdy jednakże turysta, gdziekolwiek się znajdzie, czy na wyspie Wolin, czy na półwyspie Helu, czy na przylądku Rozewie lub Jarosławiec, czy wśród jezior przybrzeżnych lub w okolicy wydm, będzie podziwiał zmienność i ruchliwość morza, jego nieustannie zmieniającą się barwę, jego oświetlenie, jego potęgę i siłę.

Są na naszym Wybrzeżu miejsca pielgrzymkowe i święte, do których przed wojną tysiące docierały pobożnych. Tymi warto się zainteresować. Są to Kalwaria Wejherowska, Swarzewo koło Pucka z cudowną figurą Matki Boskiej, góra Revekol koło Smołdzina nad jeziorem Gardno, gdzie za czasów pogańskich już kwitł kult bogów leśnych, a dziś stoi kaplica na miejscu chaty pustelnika, oraz góra Chełm pod Koszalinem o sławie docierającej przed laty nawet do Hiszpanii. Góry te pokryte są przepięknymi lasami bukowymi i mają rozległe widoki na całą okolicę, zwłaszcza na siniejące w oddali morze. W pobliżu tych gór w bukowych gajach biły wody cudownych źródeł uzdrawiających chorych. Gromady pielgrzymów, pobożnych i wędrowców zabierały ze sobą do domu tę cudowną wodę. Dziś wiemy po zbadaniu, że to jest wszędzie zwykła woda do picia, ale kiedyś wiara uzdrawiała. Natomiast uzdrawia każdego tutejsze powietrze, jednostajna temperatura bez wahań dziennych w miesiącach letnich, uzdrawia tutejsze morze. Powietrze pełne jodu i bromu, przeźroczyste i tak migotliwe, że przedmioty odległe zdają się być bardzo bliskie i dosiągalne w krótkim czasie

W kilku okolicach na Wybrzeżu mamy solanki i borowinę. Czy wyobrażamy sobie Krynicę nad morzem? Takim jest Międzyzdrój na Wolinie, taką jest Dziwna w powiecie Kamień, takim Kołobrzeg, Kamień i kilka innych uzdrowisk.

Wzdłuż Wybrzeża ciągnie się szereg doskonale zagospodarowanych, a nieraz urządzonych z pełnym komfortem uzdrowisk i kąpielisk morskich. Oprócz powyższych zaliczyć do nich możemy: Pamiątkowice, Horzewo, Ustronie, Jackowo, Mielno, Uniesty, Postomin, Łeba i inne. Wszystkie one były latem przed wojną przepełnione tłumem gości

z całych Niemiec tu przybywających. Czemu dziś mają w rękach polskich pozostawać puste i wyludnione?

Wzdłuż Wybrzeża wszędzie prowadzą doskonałe gościńce bite, często asfaltowe i betonowe, prawdziwe autostrady, np. z Kołobrzegu do Koszalina, wszędzie jest gęsta sieć kolejowa, dużo pociągów i autobusów. Nieomal wszystkie kąpieliska morskie mają elektrykę, wodociągi, kanalizację.

Kto zna Sopot pod Gdańskiem, może mieć wyobrażenie o innych podobnych, tylko nie tak przeludnionych uzdrowiskach ciągnących się sznurem jak perły od Świnoujścia aż po Łebę.

Zabytki historyczne i sztuki dowodzące polskości na Wybrzeżu winny zainteresować każdego krajoznawcę polskiego. Piękne średniowieczne klasztory mamy nie tylko w Oliwie czy Żarnowcu. One są również w Słupsku, Kamieniu i Korlinie pod Białogardem. Cenne, pamiątkowe kościoły w stylu gotyckim budowane, a pochodzące często z XIII i XIV wieku, rozsiane są gęsto od Szczecina i Kamienia począwszy, poprzez Derłów, Słupsk i Łebno aż po Elbląg i Braniewo nad zalewem Wiślanym

Kto będzie wędrował po Wybrzeżu i zobaczy widok rozległy z wieży latarni morskiej w Horzewie albo w Jackowie na przylądku Jarosławiec, lub Stilo w krainie wydm na wschód od jez. Sarbskiego, czy wreszcie na Rozewiu, ten widoku tego nigdy w życiu nie zapomni.

Kto przepłynie żaglówką lub motorówką z Warpna na zalewie Szczecińskim do wyspy Wolin, albo z Kamienia do Dziwny, czy po jez. Gardno, Łeba, Sarbskim czy Żarnowieckim, ten zawsze mile wspomni urocze zakątki, obok których przepływać będzie po toni błękitnych wód zalewu czy jeziora.

Widok ze szczytu wieży katedry w Kołobrzegu lub w Gdańsku czy Elblągu napełni każdego widza wielkim wzruszeniem po ogarnięciu jednym rzutem oka ogromnych ruin miasta u stóp swoich.

A więc pojedziemy z nadejściem wakacyj letnich nad Polskie Morze.

Zagadnienie jedno nas interesuje: noclegi i wyżywienie. Otóż zapewnić trzeba, że wszędzie można się dobrze urządzić. W każdej miejscowości, nawet w małych wsiach zdała od szlaków kolejowych położonych są piekarnie, sklepy, gospody i restauracje. Nocleg wszędzie można dostać bez większych trudności. Oczywiście większa wycieczka licząca kilkadziesiąt osób powinna zawczasu zamówić noclegi. Po miastach wszędzie są domy noclegowe należące do P. C. K. (np. w Łebie, w Słupsku, w Szczecinie) lub do innych organizacyj społecznych. Wszędzie jest dużo pensjonatów i hoteli, zwłaszcza po kąpieliskach morskich, ale trzeba pokój zająć wcześniej najlepiej już popołudniu. Zgłoszenie się wycieczki czy pojedynczych turystów u sołtysa czy wójta (byle nie późno wieczór) zawsze będzie uwieńczone pomyślnym skutkiem, a przydział kwater będzie zapewniony.

Harcerze i wycieczki szkolne mogą urządzić się jeszcze łatwiej, bo ludność na Wybrzeżu to są nasi Wołyniacy czy Wilnianie, przeważnie przyszli »z za Bugu« a my dobrze znamy gościnność kresowców. Oczywiście zawsze winniśmy pamiętać, że trzeba za wszystko zapłacić, choćby nie chciano przyjąć zapłaty i chociażby minimalną kwotę. Po wszystkich większych miejscowościach są Domy Harcerza, gdzie harcerze mogą liczyć na dobre przyjęcie, oraz w kilku miastach są już urządzone i doskonale zagospodarowane schroniska szkolne (np. w Derławie).

Brak miejsca nie pozwala tu opisywać szlaków turystycznych czy poszczególnych miejsc godnych widzenia. W najbliższym czasie będą te opisy umieszczone w »Ziemi« oraz w wydawnictwie »Pobrzeże Bałtyku«.

Tu zaznaczyć jedynie można, że Redakcja »Orlego Lotu« z chęcią udzieli adresów, wskazówek, czy dokładniejszych informacyj, tyczących się wycieczek po Wybrzeżu.

JAN WIKTOR

Wesele w Łącku.

(Wyjątek z pracy: »Pieniny i Ziemia Sądecka«).

Wykruszają się z życia dawne zwyczaje, milkną nuty, gaśnie barwność. Najdłużej zachowały się obrzędy weselne. Czasem stary ujmie skrzypki i przypomni sobie melodię, jakby z oka łza na struny spadła, to znów promień słońca wybłysnął. Czasem babka uplecie wianuszek, ustroji czoło wnuczki i zanuci piosenkę. Jeszcze gdzieś w górach, w zapomnianych osiedlach przytaiły się ostatnie klejnoty, które nowoczesne życie wymiata ze świetlicy na śmietnik. Wieść o nich zostaje w opowieści.

— Tak, wej bywało drzewiej. Były to czasy, były. Jakżem zapamiętał... z rozrzewnieniem opowiada o tym co minęło bezpowrotnie.

Pauli Żegota w czasie swych krajoznawczych wędrówek przed stu przeszło laty zdeptał ścieżki wiodące do głuchych zakątków, gdzie zataiło się inne osędziałe życie, patrzał na obrzędy, a weselny opisał jednakże nie dokładnie, bo ani szczegółów tak znamiennych i pełnych uroku nie podał, ani też pieśni i melodii nie utrwalił. Szkoda, bo one zginęły na zawsze. Jego opis suchy, pozbawiony uroku, poezji, barwności i śpiewności, a też rozmachu uczestników zatracających pamięć w tańcu. Chciałoby się zobaczyć drużbów na koniach, w ubraniach odświętnych chełpiących się kolorami wyszywań, wstążek, kiedy jeżdżą do zacniejszych kmieci, przywiązują konie u bramy, a wchodzą do izb, aby się pokłonić u progu, na wszystkie strony świata, Boga pochwalić i wygłosić zaproszenie jakby na nabożeństwo, które się

jutro odbędzie. Chciałoby się posłuchać gadek, rzewnych wspomnień, klechd i żałosnych piosenek, rozbrzmiewających w ów pamiętny wieczór kiedy druchny plotły wieniec dla panny młodej i bukiety dla drużbów. Chciałoby się poznać trwogi, przeczucia, wróżby, przeżycia ostatnich godzin przed ślubem, stanowiącym przełom dla dziewczyny wydanej w obce ręce. A wtedy matka poucza, przestrzega, co ma czynić przy ślubie i później. Bo to różnie bywało...

Widzimy tylko w środku komory nowożeńców przed wyruszeniem do kościoła, stojących przed rodzicami. »Starosta najdostojniejszy między drużbami godowymi, zapowiadał akt błogosławieństwa«. Nie wiemy jednak w jakich słowach. Młoda po trzykroć do nóg im padła, a za nią pan młody. Matka drżącą ręką kreśliła święty znak nad czołem córki — żeby cię Pan Jezus ze swojej opieki nigdy nie opuszczał, żebyś nie zaznała zła, żeby na cię nigdy nie spadały nijakie krzyżyki, żebyś się dochowała pociechy z dzieci, żeby cię żadne nie wygnały na starość na poniewierkę, żebyś w izbie pod świętymi obrazami dokończyła swoich dni... »Lice tylko matki i oblubienicy pokryły łzy rzęsiste oko zaś ojca i pana młodego — ponieważ łzy nie przystoją mężczyźnie — zasępił smutek w radość się przelewający«. A wtedy drużki i drużbowie zanuciły żałośnie prosząc ręce i usta:

»Błogosław matuleńko	Pobłogosław oboje
To twoje dzieciąteńko,	Te dzieciąteczka swoje«.

Po błogosławieństwie stanęli drużbowie z panem młodym przy drzwiach komory i wypuszczali po jednej kobiecie, pytając się, czylibyto ta była panna młoda. Lecz pan młody tak długo nie potwierdzał, dopóki nie przyszła kolej na samą narzeczoną, która była ostatnia.

Ile to było pisku przy tym, wrzawy, przekomarzeń, bo każda usiłowała go zwieść — To jo — to jo — Toś nie ty — toś nie ty. — Aż ostatnią chwycił, mocno przytrzymał. — Mojaś ty.

Dla nas to przeżytek bez znaczenia. Dopiero badacz przeszłości zrozumie ten szczegół i wyjaśni jaką treść zawiera, co oznacza, jakich czasów sięga.

Rozwinął się orszak weselny, podobny do pochodu rycerstwa zdążającego czy na zwycięską wyprawę, czy na plemienną uroczystość.

Na przodzie starosta, jakby z żołnierskim czy kapłańskim znakiem, z różdżką podobną do czarodziejskiego drzewka żywota, ozdobionego tym, co rodzi ziemia. Gałęzie okrągłe podniesione, owite słomą i świętymi ziołami jak ruta, szałwia, a ozdobione pozłoconymi orzechami włoskimi, orzeszkami laskowymi z legendy. Na końcu każdego konara czerwienią się dorodne jabłka wyrażające dosytość, zdrowie, jarość, rozrodczość. I one też są upiększone złoconymi orzeszkami. Starosta daje znaki, potrząsając różdżką, która się barwi, mieni połyskami.

Drużbowie na koniach powiewających wstążkami. Każdy z nich w niebieskiej sukmanie, przewiązanej w poprzek długimi chustkami,

zwanymi rańtuchy. Do wysokich czapek wyłożonych czarnym barankiem przypięte wiechy pawich piór, to kitki ruty, szałwi, i szychowych kwiatów. Powiewali białymi chustkami, potrząsali siekierkami na długich zgrabnych toporzyskach. Co chwila rozlegał się trzask. To uderzało ostrze o ostrze jakby błyskawica z błyskawicą.

Dopiero za drużbami wozy pełne gwaru, barwności, sukman, kiecek, gorsetów, czepców, a w zimie kożuchów wyszywanych kolorowymi krejkami safianu. W łoskocie kopyt, w turkocie kół, w trzasku biczów wystrzelały przeróżne melodie. A była ich nieprzeliczona mnogość, w ciągu wieków stwarzana i radość niosąca wszystkim strapieniom.

Ten orszak przemykał ku kościołowi przez wieś. Na odgłos pieśni mieszkańcy porzucali pracę, odbiegali od studni, od narzędzi, od pacierzy, jedzenia i pędzili ku drzwiom, byleby choć pożryć na widowisko ucieszyć oczy i słuch.

— Wesele! wesele. Chociaż raz w życiu się uraduj, bo jutro, ach, co jutro... Lepiej nie mówić.

Wśród drużek zwanych swachami, czy szweszkami królowała starościna, najweselsza, najbardziej pyskata i zamaszysta. Jej zadaniem było pilnowanie, aby obrzęd odbywał się należycie, aby nic z niego nie uronić, ona wodziła rej, podrzucała nuty i pobudzała do śmiechu. Najgłośniej zawodziła to smutno, żałośnie, to rzewnie, to wesoło. Czego czas moiściewy — wedle rozkazu bożego i płacz i śmiech i grzech i pokuta. — Za nią panna młoda spłoniona, w białych szatach, z ruciamym wiankiem na głowie. Nie śmiała oczu podnieść, nie mogła słowa przemówić. Wiedziała co ją czekało jutro i miała serce pełne łez — wola boża, bo wola boża... tak zawdy bywało.

Nie słyszała pieśni ani grania. Tuż za nią muzyka skocznie rżnęła. Skrzypkowie i basista nie żałowali sił. Chyba z ognia mieli struny chyba z piorunów smyki. Wreszcie chudoczek w koszuli uszytej i haftowanej i podarowanej przez pannę młodą w odświętnych parobczańskich szatach, oblubieniec, skołatany w tej szczęśliwości, że kościami nie mógł ruszać, ani się podnieść — jaka ona będzie, trza ją w garściach dzierżyć, a czy to utrzymasz. Łatwiej wilka do pługa zaprzęgniesz, prędzej go pacierza nauczysz...

W pół drogi chłopcy przeciągnęli powróz słomiany i drogę zawarli. Orszak musiał zatrzymać się. Trzeba było okup złożyć. I tutaj napotykano na trudności. Ceremoniał kiedyś ważny zmienił się w psoty i zabawę. Rozmowa, pytania skierowane do oblubieńca skąd jest, co zacz? Żądali zaświadczenia na piśmie. Wtedy starosta wyjmował szpargał, niby czytał, sylabizując, plótł koszałki opałki, aż ludzie tarzali się ze śmiechu, boki zrywali. Bo było z czego. Wreszcie pan młody wyrwał się z ciżby i przerwał zaporę.

Ucichły śpiewy. Wyłonił się kościół z wieńca drzew. Wysiadali wszyscy. Tyle było kolorów, jakby ktoś z wozu na ziemię wysypał łąkę majową. Pozdejmowali czapki i składnie, w milczeniu uroczystym

podążali ku bramie i zanurzyli się w mroku nawy, żegnając się nabożnie. Po mszy ślub. Kiedy mieli uklęknąć na stopniu ołtarza panna młoda spódnicą zamiotła nieznacznie, ukradkiem, aby przykryć buty oblubieńca. Wiedziała dlaczego to czyni. — Daj Panie Boże, żebym ja wierchowała nad nim, jak ta kiecka. — To znowu przydeptała mu nogę, — żebyś ty mi podległy był, żebyś nie miał nijakiej władzy nademną, żeby moja wola była wszędzie,-w każdem postąpieniu i w izbie i w oborze i w komorze, w biedzie i w rozkoszy.

Przysięgała później wierność, posłuszeństwo aż do śmierci, każde słowo gorzkiemi łzami opłakiwała.

Po ślubie kiedy szli przez kościół matka potrącała córkę łokciem.

— Pamiętaj. Poźryj do góry!

I zaraz w drzwiach panna młoda patrzała do nieba załzawionymi oczami i szeptała. - -

— Pozirom Panie Jezu do nieba, żeby moje dzieci nie łaknęły chleba. Szukam wszędzie gwiozdecki, żeby moje dzieci były takie piekne jak lalecki.

W powrotnej drodze z kościola, spiewali wszyscy.

»Oj leciały czarne kawki przez morze
Padly, siadły u p na ojca na dworze:
Czyście nie widziały — moi Marysi jadący?
Widzieliśwa twoją Marysię jadący,
Ocierała swoje oczęta płacący«.

Jak dawniejsza drużyna rycerska zajeżdżała pod namiot wodza, tak i oni zatrzymali się przed domem naznaczonym chorągiewką, zielenią i snopem zboża. W progu powitanie chlebem i solą. Zabawa. Uczta. Targ o pannę młodą. Sprzedawanie jej. Starała się umknąć, bo zbliżała się najważniejsza chwila przekazana przez dawne wieki, która była właściwym obrzędem ślubem — a to czepiny. Poszukiwania. Gonitwa. Wydobyli ją z kryjówki, spłakaną, pocieszając posadzili na dzieży. Zaległa uroczysta cisza. Wszyscy spoważnieli. Rozełkały się skrzypki. Wzięły w swoje melodje smutek ludzki i rzewnie skarżyły się nad każdą godziną jawiącą się przed oczami oblubienicy.

Starościna zdjęła wianek ruciany i wstążki i oddała muzykantom, uderzyła ją dłonią w usta, a potłuczonym garnkiem w plecy, rosplatała warkocze. obcinała je nożyczkami. Spadały powoli, ale żaden włosek nie mógł się poniewierać. Wtedy dopiero czepiec kładła na głowę. A panna młoda nie utulona łkała:

Wionecku ruciany jużeś mi się zmienił,
Już się mi nie będzies na głowie zielenił.

Ta pieśń była wyrazem jej uczuć, bo zobaczyła dolę swoją we łzach. A ta pieśń już widziała wiele, zapamiętała wszystką boleść i zapłakała nad życiem upływającym w cierpieniach, smutkach.

Panna młoda rozpogadzała się i już weselej nucąc wybierała osoby bliskie i tańczyła. Melodie w rytm, taneczny się zmieniały, w wyraz obrzędowy.

Dzisiaj więcej było radości, śmiechu niż smutku naprzekór życiu, więc wytupywali ochotę, aż deski w trzaski się rozpadały, wykrzyczeli w śpiewach, aż ściany pękały, aż powała się zrywała jakby pod podmuchem wichru.

W ciągu tych dni rozbrzmiewały pieśni, przesuwały się pyszne korowody postaci, starosty, starościny, swatek, kumotrów, kmieci, jakby wodzów plemienia, drużbów, drużek, wypełniały czynności, wymawiały nakazane wyrazy, na tę chwilę przeznaczone, święte, ważne w ceremoniale sędziwym, omszałym, przekazywanym z pokolenia na pokolenie, a w którym każdy wyraz, ruch miały swoiste znaczenie. Zwietrzały symbole, ulotniła się ich tajemnicza wymowa, tak dawniej bliska i zrozumiała. Z biegiem lat zatracały się szczegóły religijne, śpiewane przed ołtarzami, przed świętymi drzewami, pod słońcem czy księżycem, przekształcały się, jednakże spod naleciałości można było wydobyć pierwotny zarys, dawne pierwiastki kryjące sakralną treść, uczucia i wzruszenia pozbierane na przestrzeni minionych praczasów.

Obrzęd weselny pełen powagi i świętości zmienił się w widowisko rozśpiewane, roztańczone, melodyjne i barwiste.

A dzisiaj?...

MARIAN GOTKIEWICZ

Na Orawie.

Było to w roku 1920. Stałem jeszcze na pustym peronie stacji kolejowej w Rabie Wyżnej łowiąc echa odjeżdżającego pociągu. Patrzyłem na południowy zachód w kierunku długiego wału górskiego, pokrytego ciemnym świerkowym lasem, na tle którego buki znaczyły się już rudymi plamami jesieni.

Wiedziałem, że tam za tym lesistym wałem jest Orawa, a na niej wioska Podsarnie, w której właśnie miałem objąć posadę nauczyciela szkoły powszechnej, mą pierwszą w życiu posadę!

Rozglądałem się z zainteresowaniem po okolicy stwierdzając, że jestem jak gdyby na dnie wielkiej kotliny, odwadnianej przez Rabę i Skawę, okolonej zewsząd górami. Na wschodzie widnokrąg ograniczały wzniesienia Gorców, na zachodzie poza obniżeniem orawskiego działu, rysowała się śmiałym profilem Babia Góra, wysyłająca w stronę Jordanowa długi grzbiet Polic, a od północnego wschodu spoglądał na nią z przeciwległego krańca kotliny Wielki Luboń, najlepszy mój znajomy spośród gromady dookólnych wierchów. Tam u jego stóp, w Rabce czy w Zarytem spędzałem przecież niejedne wakacje, tam przeżywałem

w towarzystwie bliskich kochanych mi osób, tyle beztroskich chwil dzieciństwa, stamtąd patrzyłem nieraz i na Babią Górę i na to lesiste pasmo piętrzące się przede mną, na które, wyjść trzeba by znaleźć się na Orawie. To wszystko było tak niedawno, przed ośmiu i przed siedmiu laty, gdym dzieckiem jeszcze będąc spoglądał z Rabki ku onym orawskim stronom, ku którym wiodą mię dziś nieznane ścieżki. I oto w wolnej Polsce, po latach strasznej wojny idę teraz do Podsarnia obejmować stanowisko kierownika, małej jednoklasowej szkółki, idę dźwigając plecak pełen książek, by z nich nauczać orawskie dzieci.

Dumałem: Na Orawie, jak i na Spiszu, mieszka lud polski, lecz lud ten nie zna swej ojczyzny, żyje w zapomnieniu. Nic dziwnego: Orawa przecież należała do Węgier i polskich szkół nigdy nie miała. Dopiero teraz od sierpnia tego roku, kraj ten do naszego Państwa należy i oto dlaczego ja tu w tej chwili się znajduję. Mam być pierwszym polskim nauczycielem w Podsarniu.

Takie myśli snuły mi się po głowie, gdy minąwszy tartak i dwór w Rabie Wyżnej, począłem się piąć na wał górski, który jeszcze przed kilku miesiącami stanowił granicę między Galicją i Węgrami. Minąwszy ogromne pola ściernisk zaszyłem się w lasy. Witały mię poważnym poszumem swych gałęzi. Po drodze nie spotykałem ani żywej duszy. Kiedy stanąłem na grzbiecie, przypomniałem sobie, że nim przebiega główny wododział europejski, bo przecież Orawa to już dorzecze Dunaju, zlewisko Morza Czarnego... Sądziłem, że na drugą stronę trzeba będzie o taką samą ilość metrów się obniżać, o jaką wzniosłem się od doliny Raby tzn. o około 300 metrów, tymczasem okazało się, że Czarna Orawa płynęła zaledwie o kilkadziesiąt metrów od wododzielnego grzbietu, na którym odpoczywałem. W jej dolinie ciągły się sznurem po obu stronach drogi góralskie domostwa. Chaty były drewniane, o spadzistych płaszczyznach, zdradzających obfitość opadów, styl ich jednak różnił się od podhalańskiego. Brakowało bowiem tej symetrii w planie tak charakterystycznej dla okolic Zakopanego. Poza tym wiele chat było kurnych, bez kominów, dymiły one całą powierzchnią dachów. Wszystkie orientowały się frontem na południe, a cieśle tak rygorystycznie trzymali się tej zasady, że szereg domów odwrócił się nawet tyłem do drogi, swoimi pozbawionymi bram i okien ścianami. Widocznie od północy najczęściej tu wichry deszczem sieką i śnieżne zadymki grożą, bo chcąc dać ochronę przed nimi przedłużono płaszczyznę dachu niemal aż do ziemi. Za to od strony południowej powierzchnia ściany jest zwiększona, starczy w niej nawet na tzw. »wyżkę« tj. rodzaj ganeczka umieszczonego na poddaszu a służącego celom gospodarczym, wskutek czego płaszczyzna dachu z dwoma tkwiącymi w niej wysterkami dymników uległa znacznej redukcji. Ściana licowa orawskiej chaty z typową dla niej »wyżką« to jakby twarz poczciwej orawianki z chustą odgarniętą wysoko na czoło.

Mrok już zapadł, gdy zapukałem do schludnej chaty starego »rychtara« Wendelina Kapuściaka.

— Pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki — Amen! Witajcie u nas, panie ucycielu! — ozwał się ściskając mą dłoń z wielką życzliwością. — Witajcie nam, witajcie. Jutro oglądniecie skołe a dzisiaj bądźcie moim gościem, przenocujcie u mnie, ostańcie z nami na wiecerzy.

Z wdzięcznością przyjąłem zaproszenie. Tego wieczora długo gawędziliśmy o Polsce, to znowu o sprawach związanych z rozpoczęciem nauki. Mój zacny gospodarz nie szczędził mi informacji i wykazywał wielką troskę o to, by dzieci jak najwięcej z nauki skorzystały, by się co rychlej w języku ojczystym czytać i pisać nauczyły.

Dzieci obowiązanych do nauki było ze czterdzieści, uczyły się chętnie i dobre czyniły postępy. Przy nauczaniu geografii i historii Polski postanowiłem wyzyskiwać środowisko i prowadzić młodzież do miejsc pamiątkowych i godnych zwiedzenia.

A miejsc takich nie brakło. Jeśli idzie o historię, to przez sąsiedni Podwilk i przełęcz Beskidu biegła dobrze utrzymana droga »królewską« zwana, zapewne z tej przyczyny, że tędy jeszcze za Kazimierza Wielkiego zwożono sól z Wieliczki do Twardoszyna, gdzie istniała naówczas węgierska komora celna. Górna Orawa aż po Magurę należała w tych czasach do Polski, stanowiła jednak obszar bezludny pokryty puszczą i podmokłymi torfowiskami, których szczątkiem dzisiejsze »bory«, »pustacie« i »puścizny«. Późno, bo dopiero w XVI wieku poczęły wśród tej puszczy powstawać pierwsze stałe osady, do których i Podwilk zaliczyć należy. Chociaż kraj ten już podówczas przeszedł pod władzę węgierską, to jednak pierwsi osadnicy ściągali do niego z Polski tj. z Żywiecczyzny, z doliny Skawy, Raby i Podhala. W różnych aktach i dokumentach dochowały się ich imiona bądź nazwiska. Byli to pasterze »wałachami« zwani, a obok nich rolnicy szukający tutaj lepszych warunków do życia. Najstarsze ich osady grupowały się w pobliżu owej drogi »królewskiej«, na której z końcem XVI w. zaroiło się od wozów wiozących cenną miedź z »bańskich« miast na Węgrzech, do stołecznego Krakowa. Podwilk, Orawka, Jabłonka do tych najstarszych osad należą.

Kiedyś wybrałem się ze szkolnymi dziećmi z Podsarnia przez Podszkle i Fająków Wierch do Orawki. Przeszedłszy wzniesienia Wielkiego Działu odpoczywaliśmy przed domem Józefa Bukowińskiego, gdzie zwróciła naszą uwagę sędziwa lipa z wyrastającym z niej spróchniałego pnia młodym, zdrowym jarząbkiem. Opodal niej pokazywano nam kamienną płytę, podobno niegdyś stołową z wyrytymi na niej napisami. Jak głosi miejscowa tradycja miał z niej przemawiać w połowie XVI w. ks. Sczechowicz rodem z Ratułowa (na Podhalu) zagrzewając ludność do wytrwania w mowie i wierze jej praojców naprzekór panom Orawskiego Zamku.

Idąc grzbietem Pająkowego Wierchu mieliśmy stale wspaniały widok na całą górną Orawę i Podhale. Wprawdzie szczyty Tatr zlewały się w tym dniu z chmurami, ale pomimo tego dało się przecież wśród nich rozróżnić skalną piramidę Garłucha, to znowu zębatą grań Rohaczów a nawet na chwilę odcięła się dość wyraźnie na tle innych wierchów charakterystyczna sylwetka Giewontu. Od krańca Tatr po kraniec regle ciemniały długą smugą, wywyższając się ponad lekko sfalowane wzniesienia Gubałówki i Skoruszyny. Daleko na prawo spoza pasma Magury przeciętej koło Uścia przełomem Orawy, sterczał stromy kopiec wielkiego Chocza, wznoszącego swe czoło ponad górną granicę lasu. Zupełnie na zachodzie panoszyła się Babia Góra również w krainę kosodrzewu sięgająca a do jej stóp, niby gromada jej dzieci, przypadły inne pomniejsze wyniosłości. Poniżej nas rozłożyło się wielką słabo sfalowaną płaszczyzną szerokie dno kotliny orawsko-nowotarskiej. Całą jego długość od skałek pienińskich na wschodzie, aż po Namiesłów na zachodzie obejmowaliśmy wzrokiem.

Najlepszy z uczniów Janek Jeleń, rozłożył na ziemi mapę Spisza, Podhala i Orawy, zorjentował ją według stron świata a potem zgodnie z moim poleceniem zmierzył odległość od Czorsztyna do Namiestowa i orzekł, że widziane przez nas dno kotliny ciągnie się w kierunku ze wschodu na zachód pasem długim na 60 km.

Pokazywałem palcem na Giewont i spytałem w którym jest od nas kierunku, a dzieci na podstawie mapy wkrótce dały mi odpowiedź, że szczyt ten znajduje się od nas w kierunku południowo-wschodnim w odległości około 30 km od Pająkowego Wierchu.

Gdy tak byliśmy mapą zajęci, z za chmur wyjrzało słońce i skośnie oświetliło kotlinę. I oto dno jej, które dotychczas wydawało się zupełnie płaskie, teraz nabrało w jego promieniach takiej plastyki że wyróżnić mogliśmy na nim różne wzniesienia i doliny, a nawet poszczególne wioski. Jak na dłoni mieliśmy przed sobą Jabłonkę, Odrowąż, Załuczne, Piekielnik, Czarny Dunajec a bliżej Tatr Głodówkę, Suchą Horę, Podczerwone, Chochołów. Dzieci odczytywały z mapy nazwy tych miejscowości, lecz nie zawsze były pewne, czy się przy tym nie mylą. Spór o Piekielnik trwał najdłużej, dopiero Wojtuś Oprzędek go rozstrzygnął wołając:

Jo tam był u mojego ujka w Piekielniku. Jechaliśmy z tatusiem bez Jabłonkę na kiermas do Dunajca, o widziecie hańtą drogą, co ją hań widno, wysadzoną stromkami...

I wskazał palcem na nitkę gościńca wiodącego z Jabłonki na Podhale. Spojrzałem z uznaniem na malca. Nie mylił się. Podobała mi się pewność z jaką wypowiedział swoje spostrzeżenia.

A czy Piekielnik jest jeszcze na Orawie, czy już na Podhalu?

Nikt jakoś na to pytanie, nie umiał dać stanowczej odpowiedzi.

No, w którą stronę woda z niego płynie? Ku Orawie, czy do

Dunajca? Ale nie czytajcie z mapy, tylko mi powiedzcie patrząc na prawdziwy krajobraz!

Patrzyły dzieci, patrzyły, spierały się w którą stronę woda płynie, ale żadne nie było pewne swego, bo właśnie przy Piekielniku, na samym dziale wodnym dno kotliny najbardziej płaskie, a wododział taki niski i niewyraźny, że trudno dojrzeć, gdzie kończy się Orawa, a gdzie zaczyna się Podhale. Wreszcie zniecierpliwiona Marysia Sarniakówna zawołała:

To my z mapy wyczytamy!

Jakoż wyczytała wraz z innymi dziećmi, że Piekielnik leży już na Orawie.

Tak, na Orawie, ale widzisz Marysiu, z drugiej strony działu też jest Piekielnik, nie wieś wprawdzie, tylko potok płynący ku Dunajcowi. Dawniej ponoć, po wielkich deszczach lub roztopach wiosennych, rozlewały się wody z tych tam torfów koło Baligówki, poprzez dział na obie strony i część ich płynęła do Dunajca, a druga część do Orawy. Takie naturalne połączenie się wód poprzez dział wodny zwie się bifurkacją.

A ja słyszałem — rzekł Janek Jeleń — że tu dawniej pod Tatrami było takie wielgie jezioro, hań od Slanicy i Jabłonki bez Piekielnik jaze za Nowy Targ. Ze ponoć spłynęło kajsi do Wagu, kie jakaś królowa przeciena Magure wedle Twardosyna.

I na Podhalu również taką legendę o nim opowiadają, że nasz król Bolesław Chrobry przeciął mieczem Pieniny i spuścił wody tego jeziora do Wisły, ale to tylko taka legenda

Ej, wieru skoda — rzekła Marysia Sarniakówna — tak byśmy, teraz na to jezioro okolone wierchami spozierali i Tatry by sie w nim, kie w jakim zwierciadle, przeglądały. Pieknie by tyz to było, ej wieru pieknie...

Wszyscy jakoś nagle umilkli i zadumani patrzyli przed siebie, aż któraś z dziewcząt — czy nie Brończia Otrębówna? — zaśpiewała na orawską nutę:

Orawa, Orawa, ty wspaniały kraju, tak to tu bywało, jako kiejsi w raju. Podchwyciły w mig tę śpiewkę inne dziewczęta i nuż zawodzić:

> Śpiewom se jo śpiewom, chocia jo nic ni mom,
> ptaskowie śpiewają, chocia nic nie mają.
> Kie jo se zaśpiewom na pośród furmańca,
> usłysą mnie chłopcy, kie pódom z Dunajca.

Wmieszali w chór swoje głosy Jaś, Wojtuś i inni uczniowie i dalejże wtórowac:

> Kie jo se zaśpiewom na pośród granice,
> usłysy mnie dziewce jaze do Slanice.
> Kie jo se zaśpiewom pośród Polanego,
> usłysy mnie dziewçe u Zakopanego...

I rozśpiewana gromadka ruszyła dalej grzbietem w stronę Danielek. Gdy śpiewy wreszcie umilkły, przypomniałem wszystkim, że idziemy do Orawki zwiedzić starożytny kościółek. Na to Wojtuś wtrącił z poważną miną:

Na Orawce kościół zjedli!

Tyś go zjadł? — zaśmiała się któraś z dziewcząt.

On go ta nie zjadł, zażartował Janek, — ale uwidzicie, ze nie cygani. Hej, na Orawce kościół zjedli...

Jakoz to? — Zdziwiła się mała Hania Zązelówna, spoglądając na niego swymi dużymi, czarnymi oczami.

Nie wis, jako to? Dyć kościół z jedli.

Kto zjadł? — spytała Hania zdumiona.

I, łopatom ci trza kłaść go głowy...

Dyć go ta nikt nie zjadł, ino gwarzem, ze ten orawcański kościół jest uzdajany z jedli. No, wis Haniu, z takich jodłowych belek, z jedli..

Dopiero teraz Hania zrozumiała, a dzieci aż zanosiły się od śmiechu

Wysoko na grzbiecie górskim stało kilkanaście chat. Jawory, nad nimi szumiały. Kwiaty w ogródkach przed oknami słały uśmiechy do słońca, ilekroć wyjrzało z za chmur. Był to przysiółek, zwany Danielkami. W jednej chacie, strzeżonej przez ujadającego owczarka, mieszkał stryj Hanusi. Poznałem go przed kilku dniami w Podwilku, a teraz witałem się z nim w jego domu, jak z dobrym znajomym.

Pochwalony Jezus Chrystus!

Na wieki. Amen. — Witojcie!

Bóg zapłać! — Zdrowiście?

Zdrowi! — A wy zdrowi?

Zdrowi!

Starodawny zwyczaj tak się ludziom witać każe i wszędzie tu w tym kącie polskiej Orawy tak, a nie inaczej, człowiek z człowiekiem zaczyna rozmowę. Stryk wyniósł dzieciom wielki garniec mleka.

Niech się ta krzynkę pokrzepiom, bo są z drogi.

Dwa razy nie daliśmy się prosić. Wypiliśmy, podziękowaliśmy chórem, »Panie Boże wielgi zapłać!« i poszliśmy dalej posuwając się wciąż grzebieniem. Za Danielkami przy drodze wśród świerkowego lasu, na wierchu skąd widać szeroko — »do światu«, wysoko nad siołami w orawskiej kotlinie, naprzeciw zębatego muru Tatr, stoi kamienna figura Matki Bożej Boleściwej, trzymającej na kolanach umęczone ciało Chrystusa-Syna. Na cokole pysznią się misternie płaskorzeźby i ornamenty wprawnym dłutem w piaskowcu wyryte. Z tyłu na postumencie data z połowy XVIII wieku. Dziwne wrażenie sprawia na przechodniów figura owa w gęstwinie leśnej ukryta, smrekami jak ścianą zapomnienia od drogi odgrodzona. Las porósł ścieżki wydeptane ongiś przez tych, którzy przybytek ten tu na chwałę Bożą postawili.

Chwilę staliśmy przy nim w skupieniu ducha. Lecz już się miało ku wieczorowi i trzeba było ruszać dalej. Droga powiodła nas ku dolinom.

Nie będzie jutro pogody, — rzekł Janek Jeleń pokazując na zamglony czepiec Babiej.

Ale nas więcej interesowała Orawka malowniczo położona w dolinie tej samej rzeczki, która przez Podsarnie przepływa. Wkrótce zobaczyliśmy »Królewską« drogę, wysoko nad doliną po zboczu Kuligowej góry poprowadzoną, a przy niej ostrą wieżę drewnianego kościółka, starymi drzewami ocienionego. Mieliśmy go zwiedzić dopiero nazajutrz, bo dzisiaj trzeba było myśleć o noclegu dla małych podsarnian i podsarnianek. Te ostatnie znalazły doskonałą kwaterę u miejscowego »rychtara«, chłopcy natomiast musieli się zadowolić noclegiem w stodole na sianie u gościnnego gazdy. Zaraz po wspólnej wieczerzy i po modlitwie »polegali« na przygotowanych posłaniach i nie upłynęła godzina a sen skleił im powieki.

Spaliśmy wszyscy snem kamiennym i dopiero rano zbudziło nas pianie kogutów.

Kogut pieje na grzędzie — jako było tak będzie, kogut pieje na ziemi — pogoda się odmieni — zawyrokował zaspany Wojtuś.

Niestety przekonaliśmy się, że przepowiednia Janka Jelenia wysnuta wczoraj wieczorem na podstawie wyglądu Babiej Góry, ma szanse spełnienia się, bo mglisto było na dworze a nawet począł pokrapywać deszcz. Ale dzieci orawskie, zżyte z przyrodą, takimi rzeczami, jak aura nie zwykły się przejmować. Zresztą poszliśmy do kościoła, mieliśmy więc jego dach nad głową. Na masywnych ścianach świątyni, zbudowanych z grubych belek jodłowych, wznosi się ostry sędziołem kryty dach, opadający od strony północno-zachodniej nisko ku ziemi, analogicznie jak to można obserwować w chatach orawskich chroniących się tym sposobem przed podmuchami wiatrów północnych. Wieża kościelna miała dawniej chełm gruszkowaty, teraz zaś posiada spadzisty chełm piramidalny z narożnymi wieżyczkami. Osobliwością jest malowana wprost na ścianach nawy polichromia przedstawiająca różne sceny z życia św. Jana Chrzciciela, patrona orawczańskiego kościółka. Początki jego sięgają połowy XVII wieku kiedy to ksiądz Jan Szczechowicz na miejscu ewangelickiego zboru wznosił na Madoniowej Roli obecną świątynię, która była przez czas długi »Matrix Ecclesia« wszystkich parafii na Górnej Orawie. Jest więc ona szacownym zabytkiem naszej przeszłości i słusznie pisał niejaki »Rodomil« jeszcze w roku 1914 w »Gazecie Podhalańskiej«, że zasługuje na pamięć »ten na zewnątrz chudobny, zębem czasu do ziemi wciśniony, stary drewniany kościółek, którego wielu nie zno i dlotego i swojej przesłości nie sanuje. Przeciez istnienio tego kościółka ni mozecie zapierać, tak samo i swojego rodu polskiego, na który wom ten kościól a jego przesłość wskazujom, ni mozecie się zaprzeć«. Uważałem za stosowne odczytać dzieciom ten wyjątek przed wejściem do kościoła.

My się tyz nasego polskiego rodu nie zapieromy — rzekły dzieci. Ale cóż z tego, kiedy w kościele ksiądz skończywszy Mszę Świętą odmawiał słowackie »Otče naš, ktori jsi na nebesich...« a lud miejscowy a z nim i moje dzieci, odpowiadały na głos gremialnie »chleb naš vezdejši daj nam dnes« ...Bo jakże tu mówić po polsku. »Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj«, kiedy »pan farar« od ołtarza podaje słowackie słowa modlitwy?.. Przekonałem się, iż w kilku wsiach na Orawie, przyłączonych do Polski — nie wyłączając Podwilka — lud nasz miał jeszcze księży słowackich i modlił się na głos po słowacku.

Orawka zwała się dawniej Niepołomnicą, a w dokumentach XVII wieku spotyka się też nazwę Orawka pod Kuligiem. Dotychczas jeszcze między nią a Podwilkiem istnieje wierszyk Kulig i my też przez niego do domu wracamy. Na szczęście deszcz przestaje padać i tylko opary snują się po babiogórskich lasach. Gdzieś od chat, które zostały za nami, dolatuje przeciągłe pianie kogutów. Niebo powoli się przeciera. Coraz wyżej od Orawki! Wreszcie jesteśmy na Kuligowym Wierchu, skąd i Podwilk widać z kościołem i dworem Divekych i niepokaźne pasmo Beskidu, którym przebiegała jeszcze niedawno granica galicyjsko-węgierska. Za nim ukryła się szeroka dolina Skawy, którędy przez Spytkowice jedzie się do Chabówki.

Ale nas najbardziej interesuje kamienna figura świętej Anny. Nieznany mistrz przedstawił świętą matronę w pozycji siedzącej. Objęła ramionami Najświętszą Marię Panienkę, która przyklękła u jej stóp i oto czyta coś z przejęciem z otwartej wielkiej księgi, rozłożonej na kolanach świętej Anny. Jakież szlachetne rysy nadało dłuto twarzom obu niewieścich postaci! Czy nie to samo dłuto rzeźbiło posąg Matki Bożej Boleściwej, podziwianej wczoraj przez nas na Danielkach? Bo i data 1724 na cokole pod napisem wyryta nie wyklucza tej możliwości.

Cóż to za napis?

Płowe główki pochylają się nad zatartymi przez ząb czasu literami, rytymi w piaskowcu i dziatwa odczytuje, sylabizując następujące słowa: święta Anno, Maryey Matki Bożej Matko y Yezusa Chrystusa Babko potężna. U tego Wnęka, Patronko, przez onę miłość, którą Cię Bóg moy Yezus y Maria Czorka Twoya najsłodsza czcili, módl się za mną, abym Was tak czcił y tak sie ku śmierci gotował, abym...

Dalej zatarte i nie da się odczytać, są tylko daty 1724 i 1872 — wzdycha Hania u stóp swej patronki.

— A po jakiemu to napisane? Czy po słowacku? — rzucam pytanie.

— Po nasemu, panie ucycielu, po polsku, mową ojców nasych. Jeno ze trzeba umieć cytać, bo to starą pisownią...

I oto odcyfrowaliśmy jak z kamiennego runa jedną z kart dziejów tej krainy. Polskość jej prawdziwa i nie sfałszowana wyszła nam na przeciw.

Przez chmury przedarło się słońce. Od strony gaju poniosła się

smętna piosenka pastusza. Nie widny naszemu oku mały podwilczania wyśpiewywał w niej swą dolę i niedolę:

> Lipnica, Lipnica to piekne miasteczko,
> Za mojom Lipnicom zachodzi słonecko.

A zaś za chwilę:

> To lipnickie pole, skalecka na skale,
> Kto się tam dostanie, płakać nie przestanie.

Patrzymy w stronę Lipnicy. Ukryta w dolinie pod Babią Górą, nie widać jej. Mgły się włóczą ponad jej groniami. Opowiadam dzieciom o księdzu Ferdynandzie Machaju o jego siostrze Józefie, o Piotrze Borowym i innych orawianach, którzy znaleźli swą drogę do Polski, choć droga ta smreczyną zarosła i »skole ją zasuły«. Obiecuję dzieciom, że im tych ludzi pokażę.

— Odwiedzimy ich, gdy pójdziemy przez Lipnicę na Babią Górę.

I przedstawiam plan nowej wycieczki, a młodzieży aż oczy śmieją się z radości.

— Pójdziemy — mówię im na Babią. Zobaczycie tam lasy wielkie, nad nimi zarośla kosówki, zioła alpejskie i mchy i porosty na grani wiodącej od Sokolicy. Przepaściste tam zbocza urywają się na północną stronę. Po głazach okrutnych wyjdziemy na szczyt Diablaka, do miejsca, gdzie niegdyś kapliczka jakaś stała Stamtąd, gdy będzie pogoda, ujrzymy nie tylko Spisz, Orawę i Podhale, nie tylko Niżnie Tatry za Liptowem ale i kraj na północy, po Kraków i po Śląsko. Beskidy ukażą się nam jak morskie fale:

> Łańcuch zachodzi za łańcuch, grzbiet za grzbiet coraz to inny
> Aż ci jak lądy z za morza, wynijdą lackie równiny...

Przenocujemy pewnie w kamiennym schronisku, tam, pod samym szczytem, co się nam z chmur wyłania, o tam, gdzie ta plamka śniegu. A wracać będziemy przez Śmietanową Halę. Tam zobaczycie bacę i juhasów. Tam na szałasie napijecie się żętycy.

W powrotnej drodze przez Górną Zubrzycę wstąpimy do dworu Moniaków, gdzie pani Łaciakowa pokaże nam stare pergaminy, obrazy malowane na szkle i różne rodzinne pamiątki. Zobaczycie staroświecki dwór z r. 1784, zbudowany zupełnie na wzór orawskiej chaty z nieodłączną »wyżką« pod okapem dachu, z izbą białą i z izbą czarną o ścianach osmolonych od dymu jeszcze w czasach, gdy piec komina nie posiadał. Gdy przekroczymy próg tej izby, to zdawać się nam będzie, że przenieśliśmy się w dawno minione lata, z którymi wiąże się tradycja zbójników budujących kościółek w Lipnicy, w owe lata, kiedy to grasowała po Orawie banda Macieja Klinowskiego zaprzedana panom Orawskiego Zamku i kiedy wraz z kurucami przyszły »głodne roki« do podbabiogórskiej krainy. Piękny to dwór, szacowny zabytek starodawnego budownictwa.

Takie plany snułem przed młodzieżą szkolną na Kuligowym Wierchu, nie wiedząc, że dalsze koleje mego życia mi nie pozwolą mi ich urzeczywistnić.

Do Podsarnia wracaliśmy najkrótszymi ścieżkami, t. j. wprost od poczty w podwilczańskim dworze brzegiem Czarnej Orawy z pominięciem Podwilka Po drodze gromadka nasza topniała coraz bardziej, bo raz po razu któreś z dzieci odłączyło się od nas, kierując się do swojego domu. Janek Jeleń. Wojtuś Oprzędek, Marysia Sarniakówna i Hania Zązelówna, mieszkając powyżej mnie, roztali się ze mną przed moją szkółką, ocienioną kilku modrzewiami.

Ilekroć jadę pociągiem do Nowego Targu lub Zakopanego, staram się patrzeć w okolicy Rokicin i Raby Wyżnej z okien wagonu na widniejące w oddali lesiste pasmo orawskiego działu, za którym przed ćwierćwieczem stawiałem pierwsze kroki w zawodzie nauczycielskim.

GABRYEL LEŃCZYK

Niemcy w Krakowie.

Chełpią się Niemcy przed wszystkimi narodami zamiłowaniem do porządku, ale myśmy tego w czasie ich pobytu w Krakowie nie widzieli. To, że uznali Kraków za praniemieckie miasto, można zrozumieć z ich punktu widzenia, ale pisanie w gazetach, że nowy gmach gimnazjum król. Wandy, zbudowany przy parku dr Jordana parę lat przed wojną jest »kartą wizytową niemieckiej kultury« było conajmniej śmieszne, a wyłamanie ozdobnych barierek wokół trawników na plantach, łażenie po zieleńcach, niszczenie ich, było tak kulturalne, że nawet wiewiórki zrezygnowały z ich towarzystwa, ginąc nienaturalną śmiercią. Pokopali na plantach zbiorniki na wodę i schrony, ale jaki cel miały zbiorniki na rynku głównym, trudno zrozumieć, jeżeli się zważy, że już wtenczas całe miasta niemieckie legły w gruzach w czasie bombardowań i żadne schrony ani zbiorniki temu nie zaradziły.

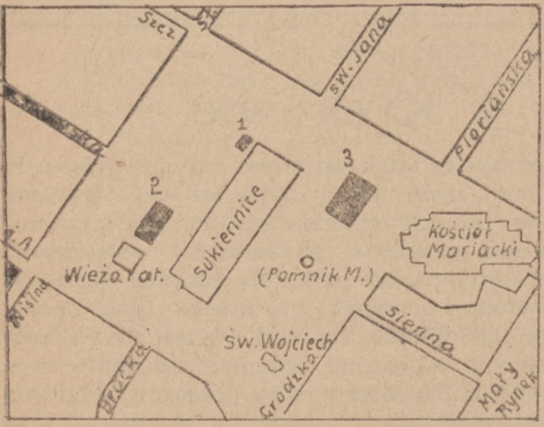
Zbiornik nr 2 wykopali na miejscu dawnego ratusza sięgając dnem do sklepień piwnic, zatem przeciął on warstwy gruzów po zniesieniu gmachu.

Zbiornik nr 3, największy, 30x19 m, 4 m głęboki, odsłonił nienaruszone warstwy, które powstawały z biegiem stuleci po wytyczeniu i obudowaniu rynku (warstwy kulturowe). Są one najwierniejszymi świadkami przeszłości, dając prawdziwy obraz używania placu i jego utrzymania.

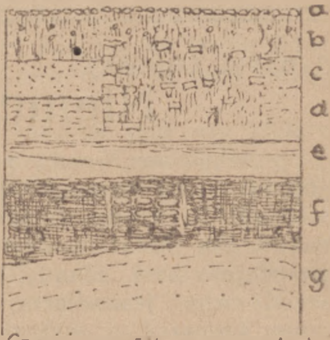
Już przy zakładaniu transformatora koło Sukiennic w 1931 roku spostrzeżono, że na piaszczystym podłożu w głębokości 5 m od dzisiejszej powierzchni, leży czarna warstwa do 1 m gruba a w niej tkwią jakoweś pale drewniane i szczątki mostków. Sądzono więc, że niegdyś znajdowało się tu prastare bagienko. Tę zagadkę wyjaśnił dół nr 3, wykonany w zimie roku 1943/44.

Na całym dnie dołu odsłonięto calec utworzony z piasku i żwiru polodowcowego, pod którym dopiero na głębokości 24 m znajduje się

skała wapienna, jak to wykazało wiercenie dokonane przy osuszaniu dolnych murów kościółka św. Wojciecha. Na calcu (g) widniały pogorzeliska drewnianych zabudowań, ciągnące się w kierunku Sukiennic i kościoła Mariackiego, a wśród nich skorupy naczyń z XI-XIII wieku oraz szkielety ludzkie w grobach bez trumien. Układ oraz położenie niektórych szkieletów wskazywało, że pochowano tu ciała pomordowanych, zapewne w czasie pierwszego napadu Tatarów w marcu 1241 roku. Wskazuje to dowodnie, że pole rynkowe było wówczas zabudowane drewnianymi domami. koło nich rosły drzewa, gdyż są



Rynek główny w Krakowie



Część profilu nawarstwień w wykopie 3 od strony kośc. Mariackiego

ślady po korzeniach i ciągnęły się miejsca niezabudowane, pokryte dość ubogą roślinnością. O bagienku prastarym na tym terenie nie ma zatem mowy.

Pogorzeliska z ich zawartością nakrywa warstwa czarna, zgnojona, tłusta, przeciętnie 80 cm gruba (f). W niej znajduje się różne odpadki, śmiecie, gałązki, łupinki orzechów laskowych i skorupy garnków typowych w Polsce w XIII i XIV wieku, a pod wierzchem widniały doskonale zachowane w tym gnoju chodniki ułożone z pni drzewnych, kładzione po dwa lub trzy obok siebie i umocnionych wbitymi po bokach palami, by chodnik się nie rozsuwał. Obok chodników znaleziono monety Wacława czeskiego. Mamy zatem przed sobą warstwę powstałą po zaludnieniu Krakowa kolonistami niemieckimi. O sprzątaniu rynku nie było tu mowy. Gnój narastał z roku na rok, a że powierzchnia rynku ma naturalną pochyłość na południe ku Wiśle, więc z zagnojonych tak samo jak i rynek ulic Sławkowskiej, św. Jana, Floriańskiej płynęły w czasie roztopów wiosennych i deszczów strugi gnojówki, znajdując ujście w ulicach Siennej, Grodzkiej i Brackiej. Na gnojowisku kładziono owe mostki umożliwiające przejście. Jedne

z nich prowadziły od Sukiennic do kościoła Mariackiego i ulicy Floriańskiej, inne ku ulicy św. Jana i wzdłuż dzisiejszej linii A-B. Przy drodze, jaka prowadziła przez rynek z ul. Grodzkiej do Floriańskiej, niemal naprzeciw kościoła Mariackiego znajdowały się stajnie końskie i różne chlewy. Tak wyglądał rynek w czasie kolonizacji niemieckiej, tak wygląda »wrodzone Niemcom zamiłowanie do porządku«.

W czasie walk Władysława Łokietka o tron krakowski i późniejszych wojen, na rynku krakowskim zaprzestano nawet budowy chodników, brodzono po gnojowiskach, bo niemiecki porządek w Krakowie żył jeszcze. Kres temu niechlujstwu położył dopiero Kazimierz Wielki. Połać zachodnią przed ratuszem wyłożono brukiem kamiennym (kocie łebki), połać wschodnią, między nowo zbudowanymi Sukiennicami a kościołem Mariackim wysypano grubą warstwą nawiezionego piasku (e).

Następują potem czasy Jagiellonów i pozostawiają po sobie warstwę (d) piaszczystą, a w niej monety Kazimierza Jagiellończyka do Zygmunta Starego, ułamki wspaniałych kafli z tych samych krakowskich pracowni, które wykonywały zamówienia do zamku królewskiego, widać wyrównanie rynku nowymi warstewkami piasku, widać starania o czystość, nie ma śmietnisk, bo nie ma działania kultury niemieckiej.

Nawet wiek XVII, tak niespokojny, nie pozostawił na rynku zgrubiałych warstw brudu. Dużo tu monet z czasów »inflacji« za Jana Kazimierza, owych Boratynek, dużo skorup z ówczesnych naczyń, ale gnoju nie ma. Warstwa (c) słabo odróżnia się od warstwy (d).

Ostatnia warstwa (b) to wiek XVIII i część XIX. Tworzy ją gruz ze zburzonych różnego rodzaju domków, skorupy, potłuczone szkło, wcale licznie znajdowane monetki Stanisława Augusta, potem pruskie i austriackie.

Warstwy (b-d) są w wielu miejscach przerwane wykopami pod podmurówki, przy zakładaniu kabli, kanalizacji, rur wodociągowych itp. Stary kanał z czasów Kazimierza W., budowany z drzewa, prowadził od Sukiennic w kierunku ul. Siennej na powierzchni calca.

Dziś rynek wybrukowany kamieniami, podobnie jak za czasów Kazimierza W., dół przed kościołem Mariackim zasypany, w niedalekiej zapewne przyszłości otrzyma ten stary plac, który już tyle porządków widział, nową nawierzchnię.

JAN KARKOSZKA

Pucheracy.

Niedziela palmowa we wsi Zielonkach — o kilka km na północ od centrum Krakowa. Promienie rannego słońca oświetlają ściany domów i chat, różowy dym, unoszący się z kominów i rozjaśniają delikatną zieleń wierzbowych gałązek nad rzeką. Jest dziwnie uroczyście w tę ostatnią, przedświąteczną niedzielę. Wtem w ciszę poranka,

w pustkę dróg i drużek wpada żwawy tupot chłopięcych nóg. Z tej, z tamtej, z owej chaty wysuwają się, wybiegają pucheracy. Dziś ich dzień i żniwo. Przypatrzmy się im bliżej.

Są to przeważnie szkolni chłopcy z niższych klas. Twarz posmoloną przesłaniają im częściowo paski kolorowej bibuły, którymi naklejona jest wysoka, stożkowata czapka z tektury. Powrósło ze słomy, biegnące przez piersi na krzyż od prawego ramienia ku lewemu i obejmujące pas — to przypomienie dawnej zbroi rycerskiej, a zarazem żakowskiego pasa z garnuszkiem, do którego litościwe mieszczki krakowskie kładły strawę ubogim puerom. Pucherak zielonecki zbiera również datki, najchętniej jajka do koszyczka z sieczką, który nosi na lewej ręce, podczas gdy w prawej trzyma laskę pucherską w kształcie młotka z długą rękojeścią Tak przebrani biegają pucheracy od domu do domu, skandują wyuczone oracje, uderzając do taktu laską o ziemię, czy podłogę i udarowani idą dalej. Trwa to prawie do sumy.

W pucherowaniu i pucherach można dopatrzeć się spuścizny, chociaż prawdopodobnie zniekształconej — dawnych żaków krakowskich. Potwierdza to i treść pucher i sposób ich wypowiadania (skandowania przyjęte z łaciny). Fakt, że z »pucherakami« spotykamy się w Zielonkach da się wytłumaczyć tym, że miejscowy kościół parafialny, sięgający swymi początkami 14 wieku, pozostawał przez wieki pod opieką Akademii Krakowskiej. Z ramienia tej akademii jako kolator przybywał do Zielonek pleban, obsługujący parafię i on to zapewne skupiał koło siebie, zwłaszcza w okresie świąt wielkanocnych gromadkę żaków, którzy chętnie przychodzili na wieś, gdzie ich oracje, a może i pasje spotykały się z wielkim uznaniem, a datki były niewątpliwie odpowiednio hojne. Od tych to żaków przeszedł zwyczaj pucherowania wraz z samą nazwą do ludu, który go dochował do dnia dzisiejszego...

Oto oracja żaka, który — jeżeli mu wierzyć — z powodu biedy musiał porzucić naukę.[1]

Nie byłem w kościele,
Aż w kwietnią niedziele,
Widziałem tam, widział ludu bardzo wiele.
Pytałem się baby Chrystofii, co z tych ludzi będzie.
Ona mi powiada: »Każdy księdzem będzie«.
A ty babo Chrystofijo
Uczyłbym się i jo,
Ale mi sie nie chce,
Bo mnie bieda łeche...
Już mnie wyłechtała,
Na służbe mnie dała.

Następuje steoretypowe zakończenie:

Pacioreczki, dymbioneczki za pasem was nosze,
A was gospodyni o pore jaj prosze
A jak mi nie dacie, to mnie pogniewacie,
To wam wszystkie gorki porozbijam,
Co ino w szafie macie.

Że pucherak prosił nie tylko o jajka, ale rad był także innym darom Bożym — świadczy zakończenie:

Są bułki na mieście idźcież mi przynieście —
I placki z twarogiem. Zostańcie tu z Bogiem.

W następnej pucherze znajdujemy echo pasyjnych monologów żakowskich:

Już sie męka zaczyna Chrystusowi Panu,
Już Go Judasz zaprzedał we czwartek porana.
Sprzedajże Go, sprzedaj Matce Przenajświętszej,
Matka bedzie rada, da pieniędzy więcej,
A ci Apostołowie dadzą tyle troje,
A ty Judasie nie siedź tu przy stole!
Pacioreczki... itd

Różnymi drogami chodziła żakowska dola. Mówią o tym dwie poniższe puchery.

1. A jo Wyrwikołek byłem za woźnice,
Miołem swoka wisielcka, ciotke carownice.
Kupił ci mi swocek kunia za dwa grosze,
A reszte mi rzucił do kasy — na trzose.
Pojechałem orać na wielkie bagnisko,
Utunyło mi śkapsko po samo kopycisko.
Jak bije, tak bije,
Wilk nademną wyje,
Wyjonem pałasza,
Ucionem mu szyje.
Przyleciała do mnie sowa,
Wyrzekła mi cztery słowa,
Ja za tom sowicą.
Zelazną prawicą,
Ona mnie oblała żółtą jajeśnicą.

2. A jo Wyrwikołek z rodu kozackiego,
Przystałem do wojska czasu niedawnego.
Najoł ci mnie pan za wielkiego ciure
Kozoł mi iść na wieś, żeby złapać kure.
Posedem do babulinki, daje jej tabacki zazywać,
A una do mnie: Umis kury smykoć?
Jakem wyrznął obusyskiem,
Aż sie przewróciła do góry brzusyskiem.
A cóześ ty Wyrwikołku zrobił? Babulinkeś zabił?
A poco mi pon takie obusysko sprawił?
Ja ci na to sprawił, zebyś po wsi chodził,
Obuchem wywijał, a bob nie zabijoł.

W obu tych oracjach góruje nad pierwiastkiem poważnym humor nieco błazeński i zawadiacka fantazja, na której, jak wiemy z historii żakom nie zbywało. Oracje te cieszyły się prawdopodobnie niemałym powodzeniem i robiły »kasę«, chociaż zapewne »smażone gołąbki nie wpadały same do gąbki«, jeżeli trzeba było o datek nie tylko prośbą, lecz i groźbą potłuczenia »gorków«, kołatać do serca i spiżarni gospodyń.

Inny rodzaj przedstawia puchera, ułożona na podobieństwo reguły łańcuchowej.

Chodźcie gąski do pani! Nie pójdziemy, bo się wilka boimy... (dialog).

A gdzie ten wilk?
Za płotem.
Co robi?
Łupie koły.
Ile nałupał?
Dwie kopy.
Co z nimi zrobił?
Sprzedał
Co z pieniądzmi zrobił?
Babie buty kupił
Co baba z butami zrobiła?
Spoliła.
Gdzie popiół wysypała?
Na bystrą rzekę?
A gdzie ta rzeka?
Woły wypiły.
A gdzie te woły?
Poszły w proso.
A gdzie to proso?
Wróble zjadły.
Gdzie te wróble?
Na dembie.
Gdzie ten domb?
Kowal ścion.
Gdzie ten kowol?
Umar.
Gdzie go pochowali?
Pod progiem.
Czym mu dzwonili?
Baranim rogiem.

W zwyczaju chodzenia po pucherach jest widocznie wiele siły atrakcyjnej — elementy jego są związane ściśle z kulturą krakowskiego ludu, jeżeli zwyczaj ten dotrwał do dnia dzisiejszego, podczas, gdy tyle innych w oczach naszych zaciera się i ginie ze szkodą wielką, bo jak pięknie powiedział K. Brodziński w Wiesławie: »Dawne zwyczaje toć krewieństwo nasze«.

Zielonki 12 kwietnia 1947.

ROMB

Magia słowa.

Gdy chodziłem do gimnazjum, a było to w czasie, gdy szkoła średnia nie dzieliła się na gimnazjum i liceum, należałem do grupy zdecydowanych zwolenników t. zw. »tematów wolnych«. Ilekroć wypadało pisać zadania polskie domowe czy szkolne, wybierałem temat literacki, przyczym najchętniej żerowałem na opisach przyrody.

Taką np. budzącą się wiosnę opisałem równiutkie osiem razy, czyli co roku od pierwszej klasy do matury pisałem to samo, tylko że w pierwszej klasie temat brzmiał po prostu »A gdy wiosna nadeszła...«, w czwartej o ile sobie przypominam »Wróciły pod strzechę jaskółki« a w ósmej »Okryły się sady śniegiem kwiecia«.

Wyczyny moje, gdyby nie stosunkowo zbyt często trafiające się skandaliczne byki ortograficzne (»Ach gdybym miał piuro Rzeromskiego« napisałem kiedyś w twórczej ekstazie) przyjmowane były przez oficjalną ocenę bardzo dobrze, skutkiem czego koledzy zgłaszali się do mnie z prośbą o pisanie im zadań polskich, wzamian za co robili za mnie wypracowania matematyczne i niemieckie, jako że Pan Bóg

obdzielając ludzi talentami czerpie z różnych garnków i z tego powodu są wielkie między ludźmi nierówności.

I żyłem sobie w ten sposób wygodnie, eksploatując systematycznie przez całe gimnazjum cztery pory roku, poranki i wieczory, góry i chmury, perliste rosy, złote kłosy itp. W siódmej klasie opisałem zimową wycieczkę na Świnnicę (której n. b. wcale nie znałem) i dostałem bardzo dobrze, gdyż wplatając w zadanie zachód słońca w górach pokryłem całe niebo w sposób głęboko wzruszający »czerwienią krwi«, masą fioletów, seledynów i innych tym podobnych historii skradzionych z malarskiej palety. Jeszcze na studiach uniwersyteckich włokła się za mną sława zawodowego pisarza zadań, skutkiem czego musiałem robić wypracowania polskie (oczywiście też o wiośnie) dla młodszych kolegów i statecznych repetentów. Dopiero gdy po ukończeniu studiów usiadłem za biurkiem w Muzeum Etnograficznym na Wawelu spotkała mnie sromotna porażka. Razu pewnego postawiono przede mną pospolity gliniany garnek (taki z Kleparza za 30 groszy) i kazano wypełnić kartę inwentaryzacyjną. Cios był dobrze wymierzony! Przy opisie garnka nie można wykręcić się ani przez »spowicie go w mgłę poranka«, ani przez porównanie polew do »diamentowych perełek rosy« Kartka o wymiarze 12x17 cm nie znosi żadnej »magii słów«, wymaga opisu treściwego, rzeczowego zamykającego w paru krótkich zdaniach wszystkie istotne cechy opisywanego przedmiotu.

I powiedzcież mi, w jaki sposób ja, który pióro swe od lat tylu ostrzyłem na nieznanych mi jeszcze granitach turni tatrzańskich miałem wyrazić np. kształt stojącego przede mną naczynia? Określić go jako »pękaty walec« — będzie głupstwo. Porównać do wydłużonej cebuli? — wyśmieją. Mozoliłem się beznadziejnie nad opisem od 9—2 popołudniu, a idąc na obiad zmiąłem kartkę w kulkę i dyskretnie wrzuciłem do kosza. W ten sposób złośliwy los wymierzył mi karę za osiem lat taniej grafomanii i chytrej blagi.

Sięgnąłem do wspomnień, aby wykazać jaka zachodzi różnica między t. zw. »pięknym« pisaniem a jasnym, precyzowaniem dokonanych obserwacji. Umiejętność sporządzania nienagannego opisu jest pierwszym warunkiem pracy każdego krajoznawcy. Czy warunek ten bywa należycie spełniany? Weźmy jako przykład poniższy wyjątek:

»Celem naszej wycieczki było dowiedzenie się wszelkich szczegółów dotyczących czapki magierki. Wśród mieszkańców Tyńca znaleźć jeszcze można starych ludzi, którzy pamiętają czapki magierki i sami je niejednokrotnie wyrabiali. Magierka była wykonana z wełny, którą sprowadzano z okolic górzystych. Magierkę gotową folowano, czyli prano w gorącej wodzie, tak aby wełna zbiła się. Początkowo magierki były całkiem białe, później zaczęto je ozdabiać wzorkami (przeważnie w gwiazdki czerwone, niebieskie, zielone) na t. zw. kołaczu i pod barankiem. Magierka bowiem składa się z czterech części: ze spodku, barana, podbarania i wierzchu czyli kołacza«.

Spróbujmy zanalizować treść zacytowanego ustępu, który ma zawierać »wszelkie szczegóły dotyczące magierki«. Dowiadujemy się, że jest to czapka wykonana z wełny, ale czy napisano w jaki sposób została wykonana? Nie! A przecież to jest bardzo ważne. Z przędzy wełnianej można zrobić zarówno czapkę na drutach, tak jak się robi swetry czy pończochy, jak i rozczesane runo owcze ubić na file i zrobić z tego czapkę w rodzaju tureckich fezów. W obu wypadkach niezbędne jest folowanie, tj. pewien zabieg, który w opisie bynajmniej nie został wyjaśniony. Poza tym pominięto zupełnie kształt czapki. Niewiadomo czy to jest rogatywka, czy szpiczasta czapka frygijska, czy np niska okrągła w rodzaju beretu. Wobec pominięcia opisu kształtu nic absolutnie nie mówi nam wymienienie części składowych (barana, podbarana itp.). Co gorsze wobec pominięcia opisu techniki wykonania nie jesteśmy pewni, czy aby cała czapka istotnie jest wełniana. Nazwy takie jak »baran«, »podbaranie« mogą nasunąć przypuszczenie, że magierka obkładana jest futrem jak np. znana powszechnie czerwona krakowska rogatywka. Opis ozdób jest niewystarczający, nie podano ani materiału z jakiego są wykonane, ani jaką techniką, (np. aplikacja, haft, wrabianie w czasie dziania na drutach). Nie podano z należytą dokładnością rozmieszczenia ozdób, odyż określenie, [że występują one na »kołaczu« nie mówi nam nic, skoro nie wiemy co to jest właściwie ten kołacz. Nie podano wreszcie ani opisu ani rysunku motywów zdobniczych nie mówiąc już o nazwach poszczególnych zdobin.

Wskazane tu braki zacytowanego opracowania wynikają z tego, że sporządzone ono jest w sposób zupełnie bezplanowy. Kto przystępuje do opisu jakiegokolwiek zjawiska powinien najpierw obmyślić sobie kolejność, w jakiej będzie omawiał poszczególne zagadnienia, aby w rezultacie powstał jasny, możliwie wyczerpujący i logicznie skonstruowany obraz opisywanej rzeczy. Na początku powinniśmy w sposób powszechnie zrozumiały określić to, co będzie przedmiotem opisu, posługując się nazwą ogólnie przyjętą (»dzban«, »dom« itp.), następnie podać miejscową nazwę gwarową, zwłaszcza jeżeli ona jest różna od używanej powszechnie (»kalenica«, »łoktusa«, »kapudrok« itp.). W dalszym ciągu należy zwrócić uwagę na materiał, z jakiego opisywany przedmiot został sporządzony, sposób wykonania, kształt, i konstrukcję. Tu należy również wymienić wszystkie części składowe, na jakie rozpada się opisany przedmiot z podaniem odnośnych nazw gwarowych. Teraz dopiero przystępujemy do opisu ozdób, traktując je tak, jak gdyby one były przedmiotem samodzielnym, tj. z zachowaniem poprzedniego schematu.

Uzupełnieniem wiadomości o przedmiocie jest wyjaśnienie do czego on służy i w jakiej sytuacji bywa używany. Należy tu opisać nie tylko podstawowe zastosowanie przedmiotu, ale i wszelkie uboczne jak np. rolę skrzyni czy dzieży w obrzędach weselnych. Należy podać,

gdzie i przez kogo przedmiot został wykonany, a gdzie znaleziony. Chcąc sporządzić wartościowy opis jakiegoś przedmiotu musimy baczyć, aby znajdowały się w nim wyczerpujące odpowiedzi na następujące pytanie:

1) Co to jest.
2) Jak się nazywa w gwarze miejscowej.
3) Z czego jest wykonane.
4) W jaki sposób jest wykonany.
5) Jaki ma kształt.
6) Z czego się składa.
7) W jaki sposób jest ozdobiony.
8) Do czego służy.
9) Kiedy jest używany.
10) Kto i kiedy go wykonał.
11) Gdzie został znaleziony i opisany.

Podany schemat obejmuje kilka punktów podstawowych, możnaby go oczywiście wydatnie rozszerzyć, ale w chwili obecnej nie byłoby to jeszcze wskazane.

I. turniej dla Krajoznawców.

Komisja Kół Krajoznawczych chcąc zachęcić młodzież do ćwiczenia się w sporządzaniu sumiennych opisów ogłasza konkurs na najbardziej zwięzły i wyczerpujący zarazem opis dowolnego przedmiotu z zakresu kultury ludowej. Opis ten może równie dobrze obejmować np. dom, młyn wodny, czy pług, jak i poszczególne części ludowego stroju lub przedmioty używane w zwyczajach ludowych, jak szopka, palma wielkanocna itd.

Termin nadsyłania odpowiedzi upływa w dniu 15 września b. r. — Wyróżnione opracowania drukowane będą w »Orlim Locie«, zaś autor najlepszej odpowiedzi otrzyma w nagrodę cenną książkę treści etnograficznej.

Z wycieczki do Tyńca.

Dnia 19 kwietnia b. r. odbyła się staraniem Oddziału Krakowskiego Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego wycieczka etnograficzna do Tyńca wsi odległej od Krakowa o 12 km, w której mieści się klasztor słynnego w ub. wiekach opactwa benedyktyńskiego. W wycieczce wzięła tłumny udział młodzież krajoznawcza, skutkiem czego wyruszyło z Krakowa ponad 250 osób, co do pewnego stopnia zaskoczyło kierownictwo i uniemożliwiło należyte wypełnienie programu. Idąc wzdłuż lewego brzegu Wisły część uczestników zwiedziła po

drodze Piekary, gdzie z dużym zainteresowaniem oglądano zabytki starego budownictwa drewnianego. W Tyńcu wycieczka podzieliła się na 4 grupy, z których jedna poszła pod przewodnictwem mgr Marii Trzepaczównej i mgr Jadwigi Klimaszewskiej zwiedzać grodzisko przedhistoryczne, dwie dalsze pod przewodnictwem mrg Zofii Reinfussowej i Zdzisława Szewczyka zajęły się badaniem ludowego budownictwa, zaś czwarta prowadzona przez dr Romana Reinfussa udała się do Marcjanny Siwkowej zwanej Balaskową ostatniej osoby, która umie robić wełniane czapki magierki. Balaskowa pokazała zaciekawionym gościom wspaniałą białą magierkę z bogatym kolorowym wzorem, którą wykonała dla Muzeum Etnograficznego w Krakowie, objaśniła technikę wykonania i nazwy poszczególnych części, a następnie opowiedziała jak to jeszcze przed 40 laty Tyniec był znanym centrum wyrobu magierek, skąd roznosili je w odległe strony Małopolski i byłej Kongresówki wędrowni kupcy. O godz. 2-giej wszystkie grupy zeszły się w klasztorze, gdzie dzięki niesłychanej uprzejmości O.O. Benedyktynów, można było zorganizować wyświetlanie filmu o Tyńcu nakręconego w ub. roku przez dr Reinfussa. W zaciemnionym korytarzu klasztornym zebrali się uczestnicy wycieczki oraz liczna publiczność miejscowa, wsród której znajdowali się też niemal wszyscy aktorzy biorący udział w filmie. Tyńczanie reagowali na oglądane obrazy w sposób żywiołowy. Wyświetlanie trzeba było powtórzyć 2 razy. Następnie jeden z O.O. Benedyktynów opowiadał zebranym koło studni uczestnikom wycieczki dzieje klasztoru i wiążącą się z Tyńcem legendę o Walgierzu Wdałym. Po opuszczeniu murów opactwa odbyło się z dużym namaszczeniem uwiecznianie na filmie zwycięzców konkursu spostrzegawczości p. p. Mieczysławy Kalety ucz. klasy I licealnej Gimnazjum X oraz Romana Fundamenta ucz. III klasy Męskiego Gimnazjum Handlowego. Parę »laureatów« sfotografowano na tle znalezionej przez nich chaty o konstrukcji t. zw. »przysłupowej«. Drugie zadanie t. j, znalezienie jedynej w Tyńcu stodoły wielobocznej zapewne z braku czasu nie zostało przez nikogo z uczestników wycieczki rozwiązane. Po południu przed opuszczeniem Tyńca mieli Krakowianie możność podziwiania jednego ze starych tynieckich gospodarzy odzianego w strój ludowy i zobaczenia jak odbywa się nakręcanie sceny do filmu.

-uss

Przemawia do Was redaktor.

W pierwszm zeszycie »Orlego Lotu« uderzyłem w nutę trochę pesymistyczną przypuszczając, że ukazania się tego pisemka oczekiwał tylko redaktor i Zarząd Główny P. T. K. Z listów jednak, które napłynęły do redakcji wynika, że poza tymi są jeszcze miłośnicy krajoznawstwa i młodzieży, którzy z radością powitali wznowienie »Orlego Lotu«. Oto przykłady:

Kiedy przed rokiem zapowiedzieliśmy wydanie »Orlego Lotu« otrzymaliśmy list od Włodzimierza Fiszera z Kielc, autora wielu artykułów drukowanych w »Ziemi« i w »Orlim Locie«. »Z radością — pisze on — dowiedziałem się, że straszliwa zawierucha wojenna, która i krajoznawstwu polskiemu tylu cennych pracowników zabrała, oszczędziła Pana i że wraca Pan do umiłowanej pracy. Zamiarowi wznowienia wydawnictwa »Orli Lot« muszę przyklasnąć, jest bowiem ono niezbędne przy organizowaniu ruchu krajoznawczego wśród młodzieży. Niewątpliwie należy nawiązać do pięknych tradycji Kół Krajoznawczych Młodzieży P. T. K. i wznowić co rychlej ich działalność.. Jestem może jednym z najdawniejszych prenumeratorów i przyjaciół »Orlego Lotu«, bo od roku zdaje się 1920. Chciałbym nim i nadal pozostać«.

Gdy się ukazał pierwszy zeszyt »Orlego Lotu« nadesłał nam dyr. Edmund Massalski z Kielc życzenia tej treści: »Dziś otrzymałem Nr 1-2 »Orlego Lotu«. Numer dobry i dla kierowników Kół i dla młodzieży. Serdeczne Bóg zapłać Wam od nas wszystkich, którzy wyrywamy ostatnie chwile nasze dla kształcenia nowych krajoznawców. Wy za nas myślicie o wzorach pracy, bez tej pomocy nie zdołalibyśmy nic zrobić. Oby Wam zdrowie dopisywało jak najdłużej w Waszej pięknej pracy«.

Podobnie z radością powitali ukazanie się »Orlego Lotu« Dr Wiktor Medwecki, prezes Oddziału Krakowskiego P. T. K., Matka Szczęsna Urszulanka, Bronisława Górska, referentka Kuratorium katowickiego, dyrektor Piotr Gałas z Bochni i wielu innych dawnych przyjaciół »Orlego Lotu«. Wszystkim tym, którzy pospieszyli z życzeniami z okazji ukazania się »Orlego Lotu« składam jak najserdeczniejsze podziękowania.

Świadomość, że pracuje się w gronie życzliwych i wypróbowanych przyjaciół, oddanych idei krajoznawczej i wychowaniu młodzieży, napawa otuchą i dodaje sił. Jeszcze większym bodźcem w tej pracy są te momenty, gdy się otrzymuje dowody, że ziarno rzucane padło na dobrą glebę, że kiełkuje i daje owoce. Takimi radosnymi momentami, są chwile, gdy się otrzymuje prace młodzieży, gdy te prace są doskonałe, jak na siły młodzieży.

Jak przed wojną tak i teraz na pierwszy plan wybijają się Koła: w Żywcu kierowane przez profesorkę Jadwigę Bartoszewiczównę i w Bochni kierowane przez dyr. Piotra Gałasa i prof. Jana Lelo. Oba te Koła dały pierwszorzędne prace o zdobnictwie okuć na dyszlach u wozów. Odznaczają się one starannością wykonania, bogactwem materiału zebranego i szczegółami opisowymi. Prace te zostały oddane do Muzeum Etnograficznego w Krakowie i stanowić będą cenny materiał do większej pracy na ten temat.

Do radosnych chwil zaliczam też te, gdy otrzymałem pierwsze opracowanie kwestionariusza: »Co wiemy o przeszłości naszej wsi?« Nadesłało je Koło Krajoznawcze Szkoły Powszechnej

w Goszczy (poczta Kocmyrzów pow. Miechów), które zebrało 11 odpowiedzi z 5 wsi. Niewątpliwie jest to wielką zasługą Opiekunki Koła Jadwigi Zajączkowskiej, że potrafiła zachęcić młodzież VI klasy Szkoły Powsz. do opracowywania tego kwestionariusza. Autorki odpowiedzi dały nadspodziewanie wiele ciekawych wiadomości o swoich wsiach. Radzimy im, niech nie poprzestają na tem, niech swe wiadomości uzupełniają i rozszerzają, by mogły w przyszłości jako obywatelki z korzyścią pracować dla dobra naszej Ojczyzny.

»Nasza Radość« to pisemko wydawane przez uczniów Szkoły Powszechnej im. św. Wojciecha w Krakowie jest naprawdę najradośniejszym objawem życia Koła, którego opiekunem jest Piotr Czapik, jeden z najzasłużeńszych opiekunów. »Nasza Radość« ma już swoją tradycję przedwojenną i cieszymy się jej wznowieniem. Młodociani krajoznawcy opracowują tematy z najbliższego otoczenia szkoły jak: »Obraz N. Marii Panny z ul. Serenno Fenna«. — »Dzisiejszy Rynek Kleparski« — »Legenda o kościele SS. Wizytek« i w. i. Szczęść Wam, Boże! Kochane Dzieci!

Po przytoczeniu tych radosnych objawów życia Kół chcę poruszyć kilka spraw organizacyjnych. Przede wszystkim zapytuję, czy wszystkie Zarządy i wszyscy Opiekunowie Kół znają podstawowe zasady organizacji Kół i Komisji KKMS, czy wszyscy przestudiowali broszurę: »Koła Krajoznawcze Młodzieży szkolnej«? Czy przeprowadza się w Kołach podział członków na zwyczajnych, czynnych i przewodników?

W wymienionej broszurze są umieszczone trzy pieśni krajoznawcze, czy śpiewa się je gdzie w Kołach? Trzeba, by w każdym Kole uczono się tych pieśni i by posiedzenia Kół zaczynano i kończono pieśnią krajoznawczą. Naturalnie że obok tych pieśni powinny Koła śpiewać miejscowe pieśni ludowe.

W tym roku polecamy Kołom kwestionariusz: »Co wiemy o przeszłości naszej wsi?« Jest on dość obszerny, gdybyśmy go chcieli wyczerpująco opracowywać. Należy więc wybierać z niego te pytania, które są w granicach możliwości tego, który na nie odpowiada. Tutaj musi współpracować Opiekun Koła, musi omówić każde z tych pytań i niedopuszczać odpowiedzi zdawkowych i banalnych. Odpowiedzi zebrane staną się fundamentem wiadomości o danej wsi, fundamentem pracy krajoznawczej Koła. Sądzę, że z korzyścią może opracowywać ten kwestionariusz także każdy nauczyciel, który chce czerpać materiał do nauczania ze swego środowiska.

Dziesięciny w tym roku nie pobieramy. Chcemy, by Koła wzmocniły się finansowo. Natomiast nakładamy jako obowiązek prenumerowania »Orlego Lotu« i nabywanie go przez członków, którym oddajemy go po zniżonej cenie 20 zł za egz. Mamy zgłoszonych Kół 150, gdyby każde Koło prenumerowało 1 egz. czy za prenumeratę możnaby wy-

dawać to pismo? Na każde Koło wypada obowiązek sprzedania 10 egz. i nawet wtedy nie będzie można pokryć kosztów wydawnictwa.

Obok prenumeraty ważną dla pisma rzeczą jest współpraca Czytelników. Trzeba, by »Orli Lot« był zasilany korespondencjami z całego kraju. Trzeba, by czytelnicy interesowali się zagadnieniami poruszanymi, by występowali z własną inicjatywą.

Jeżeli wspomniałem na początku o chwilach radosnych, to znów mogę Was zapewnić, że nie ma nic bardziej przykrego, bardziej przygniatającego nad obojętność, bierność, brak jakiegoś odzewu, jakiegoś rezonansu

Zbliża się koniec roku a z nim obowiązek składania sprawozdań z działalności całorocznej. Proszę Was nadsyłajcie je do Komisji (Kraków, Krowoderska 46 m. 9).

Przy nadchodzących wakacjach życzymy Wam zdrowego wypoczynku. A gdy Wam się nadarzy sposobność, wycieczkujcie, poznawajcie naszą Ziemię Ojczystą, nasz lud, a spostrzeżenia swe notujcie i nadsyłajcie do Komisji K.K.M.S.

Bywajcie!

JADWIGA KLIMASZEWSKA

Zwyczaje wiosenne.

Kwestionariusz.

1. Kiedy przebierali się za zwierzęta czworonożne i ptaki, za kobiety itp.? Kto się przebierał? Jak się każdy taki przebrany nazywał? Jak się przebierali? Z czego robili dawniej maski i jak?

2. Kiedy chodzili po wsi z dużą kukłą (lalką)? Z czego ją robili i jak ubierali? Kto z nią chodził i co z nią robili? Podać pieśni jakie wtedy śpiewali. Jak starzy ludzie opowiadali: co to jest ta kukła i w jakim celu, na jaką pamiątkę się z nią chodzi?

3. Kiedy wnosili do wsi zielone drzewko lub gałąź? Kto to robił dawniej a kto teraz? Jak je nazywali? Jak wyglądało? Dlaczego je wnosili? Opisać cały zwyczaj, podać pieśni.

4. Kiedy stawiali drzewko lub pęki gałęzi na wysokim słupie przy domu? Jak je nazywali? Kto komu stawiał? Dlaczego? Czy to dawny zwyczaj? Opisać dokładnie drzewko i cały zwyczaj. Czy stawiali też kukłę ze szmat lub słomy? Jak ją nazywali? Kto komu stawiał? Dlaczego?

5. Kiedy chodzili z kogutkiem po wsi? Kto chodził? Czy to był kogut żywy, czy sztuczny? Czy przebierali się za koguta? Opisać koguta i cały zwyczaj, podać teksty pieśni.

6. Jakie jeszcze inne zabawy robili chłopcy i dziewczęta? (Np. pogrzeb żuru, ścinanie kani, śmierci, odnoszenie »skoczek« (pcheł), licy-

towanie dziewcząt, podkoziołek, smarowanie i rysowanie ścian i okien). Opisać je, podać w jaki dzień każda odbywała się.

7. Jak nazywali zapusty i ostatnie dnie zapust? Co robią w zapusty starym kawalerom i starym pannom? Kiedy? Kto? Opisać dokładnie.

8. Czy są lub były w czasie zapust specjalne zabawy kobiet zamężnych lub dziewcząt na wydaniu? Kiedy? Gdzie? Co na nich robili? (Np. taniec na len i konopie, babski comber, wprowadzanie młodych mężatek, pogrzeb basów). Opisać każdą zabawę dokładnie, podając kto w niej brał udział i dlaczego ją robiono.

9. Kiedy odbywa się pierwszy wypęd bydła? Kto bierze w nim udział prócz pasterza (gospodarz czy gospodyni)? Opisać dokładnie przebieg, zaznaczając dlaczego, w jakim celu każdą rzecz się robi? A jak dawniej było (oblewanie, kadzenie itp.)? Co dostaje pasterz? Co robi wówczas pasterz, żeby mu się krowy dobrze pasły?

10. Kiedy pasterze urządzali swoją zabawę? Czy robili wyścigi, mocowanie się? Czy oprowadzali przebranych pasterzy? Wybierali króla? Czy robili uczty? Z czego i jak przygotowywali, gdzie jedli? Opisać dokładnie.

11. Jakie zwyczaje były przy pierwszej orce, przy pierwszym siewie? Opisać dokładnie, podając dlaczego, w jakim celu każda rzecz była robiona. Rozpytać o to starych ludzi.

12. Kiedy czarownice najwięcej czarowały (św. Wojciech, św. Jan, Boże Ciało, Zielone Święta)? W jaki sposób odbierały krowom mleko? Co robiły gospodynie, by się zabezpieczyć od czarów?

13. Co opowiadali i co robili w dzień św. Jerzego (23 III)? Kiedy zakopywali kości lub jedzenie do ziemi? Kto to robił i w jakim celu?

14. Co opowiadali i co robili w wilię św. Wojciecha (23 IV)?

15. Kiedy obchodzili procesjonalnie pola? Czy z księdzem? Na jaką pamiątkę, w jakim celu?

16. W jakie dnie wstrzymywali się od pracy, choć nie było święta kościelnego? Od jakiej pracy? Na jaką pamiątkę, w jakim celu? Co zabraniali robić w dzień św. Marka (25 IV)? Dlaczego?

17. Kiedy robili wielkie ognie na polach (Zielone Święta, św. Jan lub inne dnie)? Jak je nazywali? Z czego robili? Jak rozniecali? Opisać dokładnie cały obrzęd, zwłaszcza rozpytać o to starych ludzi. Czy tańczyli i śpiewali? Podać teksty pieśni. Kto skakał przez ogień? Czy przepędzali bydło przez ogień? Czy palili pęki słomy na słupie? Czy obiegali pola z ogniem? Co wołali? Czy rzucali ogień w górę? Czy staczali w dół płonące koła? Napisać dlaczego, po co robili każdą rzecz.

18. Kiedy ubierali izby, domy i podwórza zielenią? Jakie kwiaty, gałęzie lub całe drzewka dawali? Dlaczego, w jakim celu? Co z nimi potem robili? Czy z tego, że jakaś roślina zwiędła wróżyli o życiu i doli ludzi? Jaka to była roślina? Opisać wróżbę.

Kiedy ubierali zielenią rogi bydła? Kto? Jakie gałęzie dawali? W jakim celu to robili?

19. Co opowiadają o wilii św. Jana, o kwiecie paproci, o słońcu, o diabłach, o czarownicach?

20. Czy wrzucali do wody wianki we wilię św. Jana? Kto? Co z tego wróżyli? Czy to stary zwyczaj? A może rzucali na drzewa? Opisać dokładnie wianki i zwyczaj. Czy kąpali się w ten dzień? Czy czyścili studnie? Dlaczego, w jakim celu?

21. Kiedy na wiosnę zbierali zioła: czy na Zielone Święta, czy na św. Jana, czy w inne dnie? Jakie zioła? Do czego służyły? Czy je święcili? Rośliny należy zasuszyć, opatrzyć nazwą i przysłać.

22. Z czego robili wianki na Boże Ciało? Ile ich robili? Kiedy je święcili? Gdzie zawieszali? Do czego służyły? Do czego służą gałęzie z ołtarzy? Opisać zwyczaje przestrzegane podczas procesji. Co robili, by się zabezpieczyć od gradu?

23. Podać wszystkie wróżby i przepowiednie pogody, urodzajów, zdrowia itp., które ludzie obserwowali na wiosnę: w zapusty, ostatki, św. Wojciecha, św. Marka, Zielone Święta, św. Jana i przy innych okazjach.

24. Imię, nazwisko, zawód i adres wypełniającego kwestionariusz. Imiona i nazwiska informatorów.

25. Wieś, gmina, powiat, z której opisano zwyczaje.

Uwagi. Tu proszę opisać te zwyczaje, które są we wsi znane, a o które nie zapytano w kwestionariuszu.

Odpowiedzi nadsyłać należy do Redakcji »Orlego Lotu« Kraków, ul. Krowoderska 46 m. 9.

MIECZYSŁAWA ROMANKÓWNA

Oblicze matki.

Elizy Orzeszkowej.

Epicką rozlewność, dostrzeganie szczegółów w otaczającym świecie ludzi, rzeczy i przyrody dostrzegli nietylko polscy czytelnicy w utworach Elizy Orzeszkowej, ale i obcy. Pisał o niej czeski krytyk L. Silberstein, uczeń Polaka, Mariana Szyjkowskiego, profesora uniwersytetu w Pradze.

Od chwili, gdy zaczęły ukazywać się powieści i nowele tej pisarki, ciągle jeszcze z perspektywy wielu lat pamięć jej czytelników ciągle kojarzy z jej twórczością przepiękne obrazy przyrody. Wie o tym, kto czytał »Nad Niemnem«, nowelę tytułową zbioru »Gloria victis«, czy obrazki z puszczy białowieskiej a zwłaszcza »Ad astra« napisane wespół z przyrodnikiem-filozofem, Tadeuszem Garbowskim, który zginął w obozie koncentracyjnym w okresie ostatniej wojny

Jakież jest pochodzenie tej cechy pisarskiej tak charakterystycznej i rzucającej się w oczy każdemu? Zapewne owa epicka rozlewność, spostrzegawczość, która wyraża się w nagromadzeniu szczegółów pomogły autorce do stworzenia pięknych i dokładnie oddanych obrazów przyrody. Jest jednak jeszcze coś więcej, co każdy odczuje w utworach Orzeszkowej — miłość przyrody i ziemi ojczystej. Wrażliwość uczuciowa pisarki każe jej do przedmiotu uczucia zbliżać się i poznawać go.

Orzeszkowa wychowana na pensji SS. Sakramentek w Warszawie, gdzie nauczono ją zbierać zielniki według metody francuskiego przyrodnika Jussieu przez całe życie zielniki te zbiera, zapoznaje się w ten sposób z najdrobniejszymi roślinkami. Czy ktoś z nas potrafiłby tylko wymienić nazwy roślin spotkane w jej utworach? A przecież Eliza Orzeszkowa każdą z roślin dokładnie opisze.

Twórczość Orzeszkowej dotychczas właściwie nie została dostatecznie zbadana. Wiele jej utworów, a zwłaszcza artykułów ciągle jeszcze pozostających w mroku bibliotek, na kartach starych roczników czasopism jest niedostępnych dla szerokiego ogółu. Dużo zagadnień poruszanych w jej utworach uchodzi oka mniej bystrych czytelników

Dlatego też należy się cieszyć, że Bolesław Hryniewiecki zapowiada opracowanie tematu »Przyroda w twórczości E. Orzeszkowej«. Na marginesie tej obszernej pracy autor wydobył z roczników »Kraju«, czasopisma polskiego, które wychodziło w Petersburgu, utwór pisarki zatytułowany »Przed własnym progiem«. Właściwy tytuł utworu tego brzmiał »Oblicze matki«; z obawy przed cenzurą zmienić go pisarce wypadło. Hryniewiecki ze wstępem własnego pióra artykuł przedrukował w czasopiśmie »Nauka i Sztuka« w r. 1946. Państwowa Rada Ochrony Przyrody odbitkę z tego czasopisma włączyła jako nr 61 do swojej biblioteczki.

Przeczytanie utworu Orzeszkowej zaznajomi nas nie tylko z miłością Orzeszkowej do ziemi, ale znajdziemy tu argumenty, dla których matkę ziemię należy kochać. Podziękujmy Bolesławowi Hryniewieckiemu za zapowiedź swej pracy o przyrodzie w utworach Orzeszkowej — a tymczasem też za to, że wydobył ku słońcu i ku oczom naszym zapomniany wśród pyłów bibliotecznych utwór Elizy Orzeszkowej.

Metodyczne Ognisko Krajoznawcze i Ośrodek Krajoznawczy
Kraków, Starowiślna 48. M-19741

Zarząd Główny Polsk. Towarzystwa Krajoznawczego
Warszawa, Smulikowskiego 6.

Wydaje: Polskie Towarz. Krajoznawcze. Redaktor Leopold Węgrzynowicz

Drukarnia „FORTUNA", Kraków, Lubicz 15. Telef. 552-87.